№ 31. Warszawa, dnia (2 Lipca) 5 Sierpnia 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1
Za odnoszenie do domu kop. 10.
Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25, półrocznie . „ 2.50, rocznie . . . 5.—
Adres Redakcyi i Administracyi: Warszawa, Chmielna 26. — Telefon 106.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20. w Poznaniu kwartal. mr. 3, na prowincyi 3.75. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu.
Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Agencya dzienników i inseratów St. Sokołowskiego Pasaż Hausmana l. 9; w Krakowie księgarnia S. A. Krzyżanowskiego. Agencya główna na Niemcy: Księgarnia Polska Wiktora Templowicza w Poznaniu Hotel Francuzki. Zmiana adresu kop. 15.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce kop. 12 „Nadesłane“ wiersz garmontu kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje Administracya pisma i wszystkie biura ogłoszeń warszawskie i znaczniejsze zagranicą.

Rękopisów nadesłanych Redakcya autorom nie zwraca.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Dalszy ciąg).

Dwa dzienniki wraz z dwoma świeżo zatemperowanymi ołówkami leżały na stole w saloniku, obok lekarstw i butelki z winem, przeznaczonem do wzmacniania chorej.

Cieński stał w drzwiach uchylonych, jak czata wojenna, albo raczej jak rycerz na stanowisku. Każdej chwili był gotów przystąpić do działania, to znaczy: wziąść kajet i pisać.

Upływały jednak godziny całe, a hasło do pracy słyszeć się nie dawało.

W mieszkaniu panowała głucha cisza, przerywana niekiedy to słabszymi, to mocniejszymi jękami. Drzwi od pokoju Wandy były zamknięte; uchylano je wszakże nieustannie.

Co chwil parę przebiegał ktoś szybko przez salonik, albo służąca, albo przyjaciółka z medycyny, albo wreszcie pewna otyła, poważna jejmość w „mantyli,” zupełnie Cieńskiemu nieznana.

Żadna z trzech kobiet nie przemówiła doń słowa—pomimo, że niekiedy na samej drodze im stawał. Można było sądzić, że go wcale nie widzą, lub też biorą za sprzęt bezduszny.

Cieńskiego zabolały wreszcie nogi od stania, głowa od myśli jałowych. Chciał już cofnąć się do swojej pracowni, drzwi zamknąć i zabrać się do studyów nad sanskrytem. W tej chwili wszakże zauważył, że ruch w saloniku zwiększa się, że kobiety co raz szybciej biegają to w jedną, to w drugą stronę — słowem, że sprawa weszła już, lub wchodzi w okres najpoważniejszy.

Zatrzymał się we drzwiach, nasłuchując.

Po jakimś czasie studentka i pani w mantyli wsunęły się w ustronny kącik saloniku i poczęły żywo rozmawiać. Rozmawiały jednak tak cicho, że Cieński nie mógł dosłyszeć ani jednego słowa.

O zbliżeniu się i zapytaniu nie pomyślał nawet. Był przekonany, że mu nie odpowiedzą—może nawet nie usłyszą i nie dojrzą.

Wynikiem rozmowy było przywołanie służącej i wydanie jej jakiegoś zlecenia.

Potem znów na pewien czas ucichło się.

Cieński zamknął ostrożnie drzwi, zasiadł w fotelu i rozłożył przed sobą książkę. Po kilku minutach zapomniał o wszystkiem, pochłonięty całkowicie przez zawiłe problematy filologii porównawczej.

Z przyjemnej zadumy obudził go głos dzwonka.

Ktoś przybył, komuś drzwi otwierano, ktoś z pośpiechem zdejmował zwierzchnie ubranie w przedpokoju.

Cieński wysunął głowę przez drzwi i ujrzał starego lekarza, który zmierzał prosto do pokoju Wandy. Długie białe włosy wiewały mu przy uszach; szedł prędko, na palcach—Cieńskiego i jego ukłonu zdając się wcale nie dostrzegać. Nie miał widocznie ani chwili do stracenia.

Rzecz była niewątpliwie ciekawa, ale hipotezy historyczne, dotyczące początku narodów i plemion, na wywodach językoznawczych oparte, w wyższym jeszcze stopniu ciekawość podniecały. Cieński wahał się przez chwilę, w końcu filolog zwyciężył troskliwego małżonka, i badacz sanskrytu cofnął się do głębi swej pracowni.

Przez czas długi nie wiedział, co się dzieje w jego własnym domu. Szczelnie zamknięte drzwi, oraz ściany ostawione pełnemi książek półkami nie przepuszczały prawie żadnego głosu. Przytem praca umysłowa czyniła go jak zawsze, głuchym.

Nagle zapukano—w progu stanął lekarz.

Twarz jego była spokojna i jowialna, jak zawsze.

Cieński wpatrzył się w przybysza, i po pewnym wysiłku wrócił do przytomności.

— Chłopiec czy dziewczyna? — spytał podnosząc się i podsuwając lekarzowi papierośnicę.

Stary pokręcił głową w sposób zagadkowy.

— Chłopiec?—powtórzył Cieński.

Tamten zaprzeczył.

— A więc dziewczyna. Szkoda!

— Nie, nie dziewczyna—zaprzeczył powtórnie lekarz.

Cieński założył binokle.

— Jakto?—spytał, zaciągając się nerwowo papierosem—ani chłopiec, ani dziewczyna?

— Ani jedno, ani drugie.

— Cóż zatem?

— Nic.

Cieński wyciągnął chudą szyję i jął szybko mrugać powiekami.

— Nie rozumiem... — rzekł wreszcie piskliwie i sięgnął do kamizelki po zegarek.

Lekarz usiadł na taburecie, fularem otarł czoło, długie włosy dłonią pogładził i oświadczył spokojnie:

— Dziecię przyszło na świat nieżywe.

Wiadomość była tak niespodziana, że Cieński w pierwszej chwili zrozumieć jej nie mógł. Dopiero powtórzywszy kilkakrotnie w myśli słowa lekarza, treść ich pojął.

Wypadku tego nie brał dotąd zupełnie w rachunek; wydał mu się też on czemś niesłychanem, brutalnem, prawie zbrodniczem. Nie wiedział na kogo ma się gniewać; kipiał jednak złością. Wściekły był na *coś*, co mu zrobiło niespodziany zawód, popsuło starannie obmyślone plany, zniweczyło za jednym zachem czynione przez kilka miesięcy przygotowania.

W milczeniu zagryzł wargi, targał brodę, i spoglądał na starego uczonego z pod oka

nieufnie i nieprzyjaźnie, podejrzewając go w myśli o współudział w wyrządzonej mu krzywdzie. Czuł bowiem, że stała mu się krzywda, choć z trudnością przyszłoby mu powiedzieć: na czem ona właściwie polegała.

Jedno było niezawodnem, że uczucie to nie miało żadnego podobieństwa do żalu ojca po stracie dziecięcia...

Lekarz wpatrywał się w niego przez kilka chwil w milczeniu, z dziwnym wyrazem twarzy, na lekkie szyderstwo zakrawającym.

— Chciałbyś naturalnie dowiedzieć się czegoś o żonie... — rzekł wreszcie, podsuwając mu myśl, która drogą prostej logiki każdemu się nastręczała.

— I cóż żona?.. — rzucił obudzony z zamyślenia Cieński, z jakąś sztuczną, gorączkową porywczością. — Bardzo cierpi?.. Silnie zawód odczuła?.. Niebezpieczeństwo jej nie zagraża?..

— Żona twoja nie ma się dobrze. Muszę nawet wręcz powiedzieć, że ma się źle. Ale siedzi w niej dusza rogata, a takie dusze nie poddają się łatwo chorobie i śmierci. Na rogi odpowiadają one rogami.

— Tak, tak... — przytaknął Cieński głosem bezdźwięcznym, zapadając w poprzednią zadumę. — Dlaczego jednak — dodał po chwili, wpatrując się w zegarek, jakby od niego oczekiwał odpowiedzi — dlaczego to dziecko urodziło się martwe?

— Wytłómaczę ci to innym razem, gdy będę miał więcej czasu...—odrzekł lekarz, zabierając się do odejścia.—Tymczasem powiem ci tylko, że dla mnie wypadek ten nie był bynajmniej niespodzianką...

Wanda chorowała długo i ciężko. Gdy podniosła się wreszcie z łóżka, rok szkolny skończył się, a był on dla niej zupełnie stracony.

Choroba dziwnie ją odmieniła. Odmiana sięgała głęboko, dotykając w równej mierze ciała i duszy. Można powiedzieć, że pod pewnymi względami Wanda przetworzyła się całkowicie, że wstała z choroby inną, nową, odrodzoną, a przynajmniej przerodzoną istotą.

Przez dziwny, choć nie rzadki kaprys losu, twarz jej postarzała, duch odmłodniał. Nigdy nie była świeżą, nigdy nie miała brzoskwiniowego puszku młodości, który tylko pastelowe portrety dziewcząt odtwarzać umieją — teraz zatarły się w jej twarzy nawet miękkie, łagodnie zaokrąglone linie, będące wyłącznym przywilejem młodego wieku.

Natomiast uwyraźnił się bardziej jeszcze męzki charakter tej niezwykłej i niezwykle energicznej twarzy, na której wytężona praca mózgu wyżłobiła przedwcześnie pionową zmarszczkę pomiędzy brwiami.

Zaczynała dopiero trzeci dziesiątek lat, a można było sądzić, że go już kończy.

Silnie rozwinięta niedokrewność zabarwiła jej lica barwą, już nie białą i nie żółtawą nawet, ale szarą. Nawet przy największem ożywieniu policzki Wandy nie rumieniły się. Jedynem świadectwem młodości był gorący płomień jej oczów, które po chorobie nabrały więcej jeszcze blasku i głębi.

Stratę dziecka odczuła Wanda bardziej głową, niż sercem. Wypadek ten stanął przed nią pod formą problematu naukowego, który starała się rozwiązać przy pomocy znajomej „medyczki" oraz własnych badań naukowych.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z PRASY.

Burze, powodzie, porażenia od gromu—jednem słowem klęski i nieszczęścia, oto czem wypełniać muszą czasopisma warszawskie szpalty swoich kronik bieżących — swoich rubryk „Z prowincyi"—„Z daleka i z blizka" i t. p.

Aby jednakże nie dopomagać do rozwinięcia spleenu i hypohondryi u czytelnika warszawskiego—wogóle miejskiego, któremu katastrofy zaszłe poza murami jego miasta, bezpośrednio dotkliwemi być nie powinny, starają się dzienniki i tygodniki przeplatać, ile się da, żałośny albo żałobny nastrój, wywołany echami z prowincyi i obczyzny, jakąś wiadomostką sensacyjną—choćby tylko w połowie sprawdzonej autentyczności, skandalikiem miejscowym, a w braku miejscowego, zagranicznym, a gdy się i to i tamto i owo, dzięki martwemu sezonowi, wyczerpie wreszcie, stoi zawsze w odwodzie „Cyrano de Bergerac," jako uprzywilejowana, nigdy nie starzejąca się widać potrawa, dla miłośników sztuki, podawana w coraz odmiennem oświetleniu krytyki w druku i reprodukcyach fotograficznych nawet.

Taki kalejdoskop, taka mozaika, taki bigosik w życiu i w piśmiennictwie ma wiele stron dobrych; nie grozi melancholią dla tych, którzy melancholizować nie radzi, a przytem ta połowa Czerwca i ten Lipiec cały zanadto już i tak rozstroiły nerwy i wyobraźnie, nie mówiąc o spadku ceny placów pod budowle — tem nowem a niebylejakiem udręczeniu większego i mniejszego kalibru kapitalistów warszawskich.

Co bo doprawdy zrobić z taką wiadomością szczególną, jaką nam przyniosły z Charlottenburga depesze z 23 bieżącego miesiąca—depesze, które niestety aż nadto są już przez korespondencye późniejsze potwierdzone i sprawdzone, iżbyśmy się z ich powtórzeniem ociągać mieli. Już niema co czekać na dalsze wyjaśnienia — fakt jest faktem, i nic przeciwko niemu nie poradzimy. Oto jak, w treści biorąc, odbyły się wypadki w Charlottenburgu.

Pod wskazaną powyżej datą miał tam miejsce zjazd okręgowy polskiego Towarzystwa gimnastycznego „Sokół." Już po rozpoczęciu się tych uroczystości zerwała się nad miastem burza, ale nie zwracano na nią wielkiej uwagi, boć to niby tyle burz przechodzi bez szwanku dla kogokolwiek, a co się w takich niepotrzebnych popłochach zepsuje ochoty ludzkiej, to się zazwyczaj po wypogodzeniu nieba zwykło zaliczać do strat czystych a zupełnie niepotrzebnych.

Tym razem jednakże, jak się przekonamy, zakończyć się miało inaczej. W samym zaraz początku uderzył piorun w jeden z masztów okalających plac zabawy, a że maszty te wszystkie połączone były między sobą drutem żelaznym, więc dzięki tej okoliczności przybrała katastrofa rozmiary tak ogromne, i tak niespodzianie tragiczne. Maszt został od góry do dołu rozszczepiony, i zaraz też dwoje stojących pod nim ludzi uległo porażeniu tak silnemu, że wiezieni do szpitala w drodze wyzionęli ducha. Nadto piorun po drucie biegł dalej, a że o ten drut mimowiednie opartych znalazło się sporo ludzi, że nadto nacisk osób w tem dwudziestotysięcznem zgromadzeniu na małej przestrzeni był dosyć znaczny, więc jak na skutek uderzenia jednego tylko piorunu, skutki niszczące były, rzec można, ogromne. Czterech innych najmocniej kontuzyowanych i rannych odwieziono również do najbliższego szpitala, a prócz nich jest ciężej rannych 16, a lżej porażonych 20 osób. Rany mają być nader dotkliwe i groźne u wielu.

Niewypowiedzianie bolesne są wszelkie opisy podobnych hekatomb ludzkich; tu nadto łączy się do nieszczęścia specyficzne zabarwienie dodające cieniów ponurych całemu wypadkowi. Czytaliśmy nazwiska ofiar; wszystko to mniej więcej sfera uboższa, robocza, która w dzień świąteczny chciała zrzucić powszedniość szarego bytu, chciała zaczerpnąć sił w uroczystości charakteru swojskiego, wiedząc, że jutro powrócić ma do twardych warunków życia, związanego z musowym pobytem wśród obcego pochodzeniem a wrogiego nastrojem plemienia. Byli tam rzemieślnicy, uczniowie, zecerzy, robotnicy, szwaczki — cały jednem słowom żywioł pracowity, a wyrzucony z gniazd swoich na niegościnną niemiecką ziemię.

Mówiono ongi u nas, że przy biesiadnych stołach, śmierć gęsto wybiera sobie ofiary na ławach ucztujących,. Niema już biesiadnych stołów, niema ucztujących, a śmierć krąży nieznużona i wybiera swój haracz przy warsztatach pracy — w zaduchu, ciemni i opuszczeniu suteryn, a tam, gdzie dostrzeże gromadkę ocierających na chwilę uznojone czoła, tam jest, jak widać, nieubłagana i mściwa niesłychanie.

Już też i nie miała w Charlottenburgu nikogo prócz tych 50 bezdomnych przybyszów na pastwę swoją — nikogo prócz zawsze jednych i tych samych.

Ale z drugiej strony trudno jest dziwić się, że egoizm ludzki, westchnąwszy raz jeden nad nieszczęściem podobnem, rad jest co najrychlej odwrócić się ku jakiejś uciesze, którąby mu w części chociaż zatarła wrażenie ujemne — że nie może człowiek wogóle utrzymać się dłużej w nastroju poważnym, ale dlaczego tak niewytrwały, gdy chodzi o zniesienie smutku, niedoli i boleści ludzkiej, potrafi tak mężnie cierpieć monotonię i banalność rozrywek, któremi go okarmiają ministrowie jego swobodnego humoru i dobrego trawienia?

Dlaczego ten sam poczciwy mieszczanin nasz wytrzymuje wszystkie piły ogródkowe—dlaczego się pozwala umęczać widowiskami, które go nie zajmują, a następnie bez szemrania przyjmuje, gdy mu echa tej piły przynosi prasa, i gdy mu ją nadomiar złego, wałkują rozmowy, na które natrafia na każdym kroku.

. Że taką piłą naszego martwego sezonu tegorocznego stał się „Cyrano de Bergerac,” zgodzi się każdy chyba, kto kilka ostatnich tygodni przepędził w Warszawie. Bo tylko przypomnijmy sobie, po wiele to razy już i w jak rozmaity sposób przyrządzano nam i odgrzewano tę gaskonadę całą.

Ukazało się dzieło w oryginale — czytaliśmy oryginał. Następnie przychodziły nam w korespondencyach zagranicznych z Paryża a nie w Paryżu pisanych, sprawozdania, krytyki i wzmianki—czytaliśmy i te. Niebawem zjawiać się zaczęły tłómaczenia rozmaite: jedno piękne, drugie dobre, a oczywiście musiało być i takie, o którem mówiono i pisano zgodnie, że jest najgorszem, i złem bezwzględnie biorąc. A więc recenzye, porównania, rozbiory i krytyki rozbiorów. To wszystko przebyć musiał i przebył czytelnik przeciętny, ale już w tej epoce dawało się uczuwać od czasu do czasu pewne przesilenie czy znużenie — już wtedy pytał niejeden, azali o tem Bergerac'u nie będziemy mogli nareszcie zapomnieć.

Poczekajcie, mówili świadomsi. Jak zobaczycie tę sztukę w Bagateli, to spodziewać się należy, że pogwarzycie o niej jeszcze czas jakiś—choćby do jesieni tegorocznej. Nowszej piły niema widoku—to trudno.

Stało się wedle tej zapowiedzi złowróżbnej. Publiczność nasza zarówno ta, która czytała sztukę w oryginale, jak ta, która ją zna z trzech razem, albo choćby z jednego tłómaczenia, a nawet ta, która o żadnem z nich, ba i o sztuce samej nie zasłyszała—publiczność ta o dziwo zaczęła ciągnąć do Bagateli, jak na umówionego, a jakkolwiek rozczarowania doświadczyły odrazu pierwsze szeregi, jakkolwiek wrażenie okazało się zupełnie ujemnem i nikt się inaczej o niem nie wyrażał, Bergerac nie schodzi ani z desek sceny, ani ze szpalt dziennikarskich, ani nawet z rozmów i pogawędek.

I to jest właśnie niepodobnem do zrozumienia. Sztuka, którą krytyka i publiczność przyjęła we Francyi przychylnie, ale której tam nikt arcydziełem jednakże nie nazywał, sztuka podniesiona u francuza w znaczeniu charakterem swojskości, doskonałą grą aktorów, staranną inscenizacyą, wreszcie znaczną wartością pierwowzoru, jako utworu literackiego, u nas trafiła na brak rażący tych wszystkich warunków, które się na miejscu na jej powodzenie składały, i mimo tych braków zyskuje sobie przywilej stałego zatruwania żywotów ludzkich. Zamiast pięknego języka poetycznego Rostanda, mamy do czynienia z najgorszym z przekładów, zamiast profuzyi środków inscenizacyi, których mogą nie szczędzić sobie teatra francuzkie, patrzymy na ubóstwo sprowadzające wszystko do nicości, albo co gorsza do parodyi—zamiast swojskości, która rzecz robi cenną i pożądaną francuzom, my otrzymujemy trawestacyę nietylko niedostępną dla naszej powszechności całej, ale nawet nie pozwalającą domyślać się i odgadywać temu z pomiędzy widzów, który z właściwości ducha gaskońskiego sprawy sobie zdaje jako tako.

Niechaj na to odpowie kto może.

Żywości akcyi, która cechuje utwór ani śladu nie zostało dla widza naszego, fantazya specyficzna południowców francuzkich nie jest do odcyfrowania pod skorupą nagromadzonych nieudolności—cóż dopiero powiedzieć o tych bądź co bądź brakach rzeczywistych samego oryginału, o niedostatecznem pogłębieniu psychologicznem kreacyi głównych, o przesadzie ich dosyć rażącej; przecież te niedostatki urastają u nas, piętrzą się w karykaturę, która niedosyć że zostawia widza zimnym i obojętnym, ale mu daje zniechęcenie, nudę i niesmak.

K.

Z nauki czystej i stosowanej.

Odkrycie zarazka wywołującego chorobę zwaną rakiem. — Zagadkowy potwór. — Fale elektryczne i przewroty wywołane przez nie w przyszłych wojnach.

Rak należy do chorób najbardziej rozpowszechnionych, a co dziwniejsza, czyniących coraz większe spustoszenia z roku na rok. Uciekając się do statystyki, łatwo wykazać, że w przeciągu ostatniego pięćdziesięciolecia liczba ofiar raka wzrosła prawie pięćkroć.

Czemu należy przypisać takie rozszerzenie się tej plagi?

Pewien profesor amerykański przypuszcza, że nie bez wpływu jest w tym wypadku wzrost konsumcyi mięsa, ale założenia tego dowieść trudno. Inni medycy gotowi są zaliczyć raka do rzędu chorób zaraźliwych.

To, co wczoraj było hipotezą, obecnie dzięki postępom bakteryologii, znalazło potwierdzenie na drodze czysto doświadczalnej.

Wprowadzono zwierzętom pod skórę cząsteczki nabrzmienia rakowatego, i przekonano się, że zarazek rozwijał się w tkance i ostatecznie sprowadzał samą chorobę. Pewien lekarz w zamiarze rzucenia światła na tę kwestyę, posunął się aż tak daleko, że umyślnie czy nieumyślnie zaszczepił podczas operacyi komuś raka, a heroiczny ten, choć naganny eksperyment stanowczo dowiódł zaraźliwości choroby.

A więc rak musi mieć swojego zarazka, podobnie jak go mają: cholera, dżuma, suchoty, róża, dyfteryt, febra etc. Jak on wygląda? Czy należy do bakteryi, czy do grzybków. Oto pytanie, na które szukano przez długi czas odpowiedzi. Wreszcie pp. Bra i Choussé udało się wyosobnić i wyhodować pierwiastek wywołujący raka.

Pasożyt ten przedstawia się w postaci drobnowidzowych kulek i cylindrów. Kulki, liczące zaledwie 1—12 tysiącznych milimetra średnicy, mają barwę żółto-zieloną, posiadają jąderko i błonkę zewnętrzną. Rozmnażają się przez spory, wydalone na zewnątrz kulek wraz z napełniającą je massą galaretowatą. Komórki cylindryczne ujawniają skłonność do grupowania się pomiędzy sobą.

Można dowolnie otrzymywać kulturę samych kulek lub samych cylindrów.

Pasożyt o którym mowa, znajduje się w naroślach rakowatych, a także we krwi ludzi niemi dotkniętych. Dość wypuścić kroplę krwi i wziąść ją pod mikroskop, ażeby dopatrzeć się w niej obecności owych kulek i sporów.

Ażeby dowieść, że owe bakterye rzeczywiście są przyczyną choroby, nazwanej rakiem, p. Bra zastrzykiwał ich kulturę na bulionie, w arterye rozmaitym zwierzętom, które wskutek tego dostawały zapalenia chronicznego albo ostrego, albo wreszcie charakterystycznych nabrzmień.

Jeżeli doza zastrzykniętego zarazka była dużą, to zwierzę podlegało ogólnemu zakażeniu, jak to się zdarza u chorych na raka, i zdychało z naroślami w kiszkach, brzuchu i rozmaitych organach.

Takie narośla wytwarzane przez sztuczne zakażenie, zawierają podobnie jak naturalne, owe kulki i cylinderki, pozwalające się hodować na sztucznych podścieliskach.

Możemy więc powiedzieć, że odkryto przyczynę raka.

Przedwcześnie jednak byłoby dziś już żywić nadzieję, że medycyna znajdzie rychło sposób leczenia tej strasznej choroby drogą jakiegoś ochronnego szczepienia, jak np. błonicy lub wścieklizny. Wszak oddawna znamy przecinka cholerycznego, lasecznika suchotniczego, a przecież nie posiadamy jeszcze środków do zwalczania tych chorób.

Musimy się tylko pocieszać, że odkrycie p. Bra ułatwi poszukiwania leku skutecznego, lepszego aniżeli operacya chirurgiczna, która rzadko prowadzi do zupełnego uzdrowienia, a często jest niewykonalną.

Mikrob raka istnieje całkiem realnie, czego niestety nie można powiedzieć o—wężu morskim.

Ileż to już razy z rozmaitych stron świata donoszono o pojawieniu się tego potwora! Na dziesiątki możnaby liczyć nazwy okrętów, których załogi widziały go, a na setki naocznych świadków.

Dlaczego, pomimo tylu świadectw, nauka nie uznaje istnienia węża morskiego?

Dla tej prostej przyczyny, że żaden zoolog nie miał dotąd przyjemności oglądać go, złapać, opisać i przesłać choćby jakąś jego cząstkę do muzeum przyrodniczego. Póki zaś to nie nastąpi, nie podobna przyjmować bez zastrzeżeń wszelkich wiadomości, dotyczących zagadkowego stworzenia.

Czy z punktu widzenia naukowego istnienie węża olbrzymich rozmiarów, zamieszkującego głębie oceanu, jest prawdopodobnem?

Niezaprzeczenie że tak. W ubiegłych epokach geologicznych żyły na naszym globie zwierzęta rozmiarów zdumiewających, weźmy choćby naprzykład owe dinosaury, o których pisaliśmy w poprzednim artykule. Któż więc nam zaręczy, czy w głębiach morza, gdzie panują zupełnie inne warunki fizyczne, aniżeli na powierzchni, nie lęgną się dotąd potwory potężnych i dziwacznych kształtów? Wszak w nowych czasach dokonane badania otchłani oceanicznych, wydobyły na światło dzienne wielu zdumiewających przedstawicieli fauny, istnienia których uczeni z przed laty trzydziestu wcale się nie domyślali.

Po tym wstępie pozwolimy sobie powtórzyć wiadomość pisma „English Mechanic,” odnoszącą się do węża morskiego, czy też jakiegoś innego, nieznanego dotąd stworzenia, wyrzuconego jakoby przez ocean na wybrzeża wyspy Suworowa w pobliżu Australii.

Kiedy parowiec „Emu“ zatrzymał się w wymienionej miejscowości, krajowcy zawiado

mili kapitana, że niedaleko fale wyrzuciły na ląd olbrzymiego i nigdy dotąd niewidzianego potwora. „Emu" popłynął niezwłocznie do wskazanego punktu, w miarę jednak jak się do niego zbliżał, w powietrzu było czuć coraz silniejszą woń gnijących szczątków zwierzęcych.

Nie bacząc na nieznośne wyziewy, marynarze zabrali na pokład parowca część tajemniczego potwora.

Okazało się, że skóra jego była pokryta sierścią barwy brunatnej, głowa miała pewne podobieństwo do końskiej, ciało mierzyło około 18 m. długości, całkowita waga zaś wynosiła 60 tonn (tonna=1,000 kg.). W górnej szczęce znajdowały się dwa rodzaje zębów; długość głowy równała się 90 cm.

Podobno mieszkańcy Sydneyu wielce się cieszą z dokonanego odkrycia, i zniewolili kapitana „Emu" do przywiezienia z wyspy Suworowa pozostałych szczątków węża morskiego.

Rzecz prosta, że całą tę wiadomość trzeba przyjmować z wielkiem niedowierzaniem; powtarzamy ją na odpowiedzialność owego pisma angielskiego. Czyżby wąż morski miał oznaczać zbliżanie się sezonu ogórkowego, cechującego się jałowością na polu nowinek?

(Dokończenie nastąpi).

WYCHODŹCY W BRAZYLII.

Tak luźne i bałamutne odbieraliśmy dotąd wiadomości z tej zaoceanowej kolonii, taka woń fantazyi i dyletantyzmu podróżniczego zalatywała dotąd z wszelkich przywożonych ztamtąd wieści i pogłosek, że nie możemy pominąć kilku sprawozdań poważniejszego charakteru, doszłych do nas w ostatnich czasach, aby się niemi nie podzielić z czytelnikami „Tygodnika."

W dniu 5 Lipca roku bieżącego odbyło się we Lwowie posiedzenie założonego tam przed niedawnym czasem „Towarzystwa kolonizacyjno-handlowego," które jest instytucyą urzędowo uznaną, mającą swoje zatwierdzone statuty, swoje cele realne, i wreszcie materyalne środki, jakie się na początek zgromadzić dało założycielom. Celem towarzystwa jest:

a) Nabywanie lub dzierżawienie ziemi w południowej Brazylii, a głównie w stanie Parana, parcelowanie jej i rozdział między przybywających osadników na prawie dziedzicznem lub dzierżawnem. (Wiadomo jest zapewne czytelnikom, że najsilniej zwrócił się prąd emigracyjny ku tej części Brazylii, a to zapewne ze względów na warunki klimatu i gleby, które w istocie okazały się dla wychodźców możliwie przyjazne).

b) Dostarczanie kolonistom osiedlonym na gruntach stowarzyszenia, potrzebnych im produktów, narzędzi i utensyliów, pośredniczenie w sprzedaży wyprodukowanych płodów produkcyi roślinnej lub zwierzęcej.

c) Organizowanie przedsiębiorstw, mogących podnieść wartość osad nabytych od towarzystwa.

d) Udzielanie zaliczek pieniężnych, pośredniczenie w ich przesyłce, co w kraju bez komunikacyi i jakichkolwiek urządzeń pocztowych, okazało się nieodbicie potrzebnem. Niemniej zastępstwo kolonistów we wszelkich sprawach ekonomicznych, sądowych, i administracyjnych, jakie im się z tytułu prowadzonego przez nich procederu nastręczyć mogą.

e) W końcu utrzymywanie dla wychodźców osadników, biura spedycyjnego i informacyjnego.

Na zebraniu owem odbyły się przedewszystkiem wybory do rady nadzorczej, w skład której weszli: Książę Kazimierz Lubomirski, przebywający obecnie w Ameryce Północnej, ks. Gnatowski, dr. Stanisław Kłobukowski, dr. Adam Krzyżanowski, dr. Witold Lewicki, Ludwik Przysiecki, profesor dr. Wacław Sobierański, dr. Jan Steczkowski i Marcin Wroński.

Widzimy tedy, że członkowie rady zawiadującej czynnościami Towarzystwa, są ludzie stanowisk i powagi, w przedsięwzięciach tego rodzaju nieodbicie potrzebnej. Oprócz powyżej wymienionych znajdował się tam p. Wilhelm Pohl austro-węgierski konsul z Kurytyby, który bawiąc czasowo za urlopem na Szlązku, przybył do Lwowa dla udzielenia świeżo zawiązanemu Towarzystwu wskazówek potrzebnych, które jak się przekonamy, są dosyć cenne, zwłaszcza gdy przeciw ich powadze i autentyczności nie miał nikt do nadmienienia ani słowa.

P. Pohl zaczął od zapewnienia zgromadzonych, że bierze udział w obradach na mocy wyraźnego polecenia hr. Gołuchowskiego. Dał do zrozumienia w dalszym ciągu, że stosunki, jakie widzimy dzisiaj między wychodźtwem polskiem w Brazylii, znacznie się różnią od tych, jakie nam pozostawili w opisach swoich pp. Kłobukowski i Siemiradzki.

W latach 1895 i 1896 przybyło do Parany 17,000 emigrantów — samego ludu rolnego z Galicyi. Osiedlili się oni przeważnie w Rio-Claro, Antonia, Bridentopolis, Olyntho i Lucena, i dziś polskie osady w tych miejscowościach tworzą zamożne i rozległe posiadłości, odznaczające się wybitną cechą narodową. Dodaje przytem p. Pohl, że większość tych osadników przechodziła bardzo ciężkie koleje w samych początkach pobytu, albowiem rząd Brazylijski nie przygotowany na tak liczny napływ wychodźtwa, nie przysposobił dlań dostępnych do wyrudowania gruntów pod uprawę. Już w 1896 przybywszy do Parany, zastał w jej lasach dziewiczych setki całe rodzin, trawionych ostateczną nędzą. Stało się tedy tak, jak się dzieje zazwyczaj w podobnych razach, mianowicie najpierwsi i najmniej zaopatrzeni padli ofiarą — kto ocalał z przybyłych, ten dzisiaj już jest poza granicami nędzy, a nawet wielu z tych ludzi dochodzi szybko do zamożności. Przyczyniają się do tego warunki wielce dla rolnika pomyślne, gleba bowiem nazwaną być może bardzo urodzajną, warunki klimatyczne sprzyjające, a co najważniejsza w sprawie nawyknienia do nowego położenia rzeczy—wielce do galicyjskich zbliżone.

Aby sobie o tem dokładniejsze wyrobić pojęcie, dość wspomnieć, że według danych urzędowych, gromadzonych tam przez czternaście lat ostatnich, najwyższy stopień ciepła wynosił tam 34,2% Cels.—najniższy 2,4º. Epidemicznych chorób niema w Paranie żadnych, a co do tego, jak służy klimat osadnikom naszym, przytacza p. Pohl, że zwiedzał osady po 120 rodzin liczące, w których nie znajdował ani jednego człowieka chorego. W kolonii Rio-Claro, gdzie żyje 5,000 rusinów, stosunki sanitarne są również najpomyślniejsze.

Lata 1897 i 1898 były dla sprawy zaludnienia tych krain dziewiczych o wiele mniej pomyślne od poprzednich; w tym okresie przybyło z naszych tylko 600 ludzi. Wzmiankuje też konsul austryacki, że dopóki kolonizacya nie zostanie jak należy uregulowaną, wychodźcy będą ciągle ofiarami wyzysku, który niekiedy dochodzi w istocie do potworności. Dziś emigranci, którzy przybywają do Paraguay'u muszą własnym kosztem opłacać ztamtąd drogę do Kurytyby, i tam p. Pohl był świadkiem jak jeden ze spekulantów miejscowych za przenocowanie 18 rodzin naszych osadników i za przewóz ich do Kurytyby, wyłudził od nieświadomych 900 milrejsów, z których tylko dzięki interwencyi władz zwrócił im następnie połowę (milrejs=45 centów austryackich—wedle obecnego kursu naszej waluty mniej więcej kop. 38).

Dopiero w Kurytybie dostają się wychodźcy pod opiekę konsulatu, który bierze na siebie wyrobienie w urzędzie kolonizacyjnym patentu osadniczego, wraz z zaleceniem do geometry przebywającego w Rio-Claro. Ten ostatni udaje się z emigrantami w miejscowości sobie wskazane, któremi są zawsze lasy i puszcze prawie niedostępne, tam odmierza każdej rodzinie przestrzeń liczącą wzdłuż i wszerz po 250 metrów (metr w przybliżeniu $^{1}/_{4}$ łokcia) i pozostawia ich własnemu przemysłowi.

To się nazywa zostać osadnikiem.

(Dokończenie nastąpi).

Sprawozdania literackie.

Wincenty Lutosławski: „Seelenmacht."

Pod powyższym tytułem ukazało się niedawno w Lipsku dzieło naszego filozofa, który poprzednio studyami swemi nad Platonem zdobył sobie w świecie naukowym europejskim niemałe uznanie.

„Potęga dusz" jest nową próbą stworzenia filozofii polskiej, stworzenia poglądu na świat, na istotę i cele życia ludzkiego, zgodnego z naszym duchem narodowym, wypływającego zeń.

W ostatnim zeszycie „Przeglądu filozoficznego" spotykamy własny referat Lutosławskiego, zaznajamiający nas z ważniejszymi punktami jego systemu. Czytamy tam na wstępie:

„Dzieło to przedstawia w formie dla szerszego ogółu przystępnej, pogląd na istotę i cele życia ludzkiego z punktu widzenia Polaka, nawet wykształconego śród obcych.

I mówi w dalszym ciągu autor, że zapragnął usprawiedliwić i wyrazić filozofowanie tego krnąbrnego niezależnego ducha, który dawnych prawodawców popychał do wprowadzenia w życie zasady liberum veto, a później odzywał się w wybuchach „Ody do młodości,“ w „Improwizacyi,“ w „Walenrodzie,“ „Kordyanie,“ „Królu Duchu,“ „Irydyonie“ i t. d., tego ducha zbuntowanego przeciw wszechwładzy rozumu, nie pytającego o prawa powszechne, niesionego falą uczuć, tego ducha tylekroć potępianego, wyszydzanego przez filozoficzną myśl europejską.

Opowiada dalej, jak wychowany w szkołach niemieckich, w czci uległej dla rozumu, słysząc dokoła wezwania do godzenia się z dokonanemi faktami, nie mógł jednak pozbyć się miłości wieszczów swoich i stworzonych przez nich postaci, zarówno, jak postaci historycznych bohaterów, szaleńców walczących o dobro swych braci w zgodzie z własnem tylko sumieniem, wbrew tradycyi, i t. zw. zdrowemu rozsądkowi.

Powstały ztąd w umyśle jego rozliczne sprzeczności, których rozwiązania postanowił szukać na drodze samodzielnych badań i zagłębiań się w starożytnych mistrzów. Przestudyował ich raz jeszcze i dojrzał, że boski Plato nie stoi tak daleko od wieszcza „Konrada,“ jakby się to uczonym filologom zdawać mogło. Tam, gdzie oni widzieli skamieniałą doktrynę, on dojrzał niespodziewany rozwój myśli.

Poznał też ważniejsze pisma wyrażające naszą myśl narodową, między innemi mało znane dzieła Towiańskiego i natchnione pomysły Mickiewicza — i doszedł do przekonania, że można zbudować pogląd na świat godzący wymagania rozumu z potrzebami uczucia, i wtedy zapragnął ten swojski indywidualizm, bardzo różny od egoistycznego i materyalistycznego indywidualizmu Niemców, którego najlepszym wyobrazicielem jest Nietsche, poddać krytyce międzynarodowej.

Tak powstała „Seelenmacht“ („Potęga dusz“).

Nie ogłosił autor pracy swej po polsku, bo poglądu tego nie uważa zą swój własny wytwór, lecz za własność wspólną i odwieczną wielu rodaków; przekonany jest, że wśród swoich znajdzie oddźwięk — chciał dowiedzieć się, czy w Europie znajdzie się pewne koło umysłów pokrewnych mu, zdolnych do przyswojenia sobie jego filozofii.

Poznajmyż teraz, choć w grubych zarysach światopogląd Lutosławskiego.

W „Potędze dusz“ spotykamy wiele pierwiastków znanych i przyjętych jako pewniki przez większość filozofów. Wolność woli, nieśmiertelność duszy, opatrznościowy kierunek spraw ludzkich, nieskończony rozwój każdej jednostki, wyższość wiedzy nad ślepą wiarą, miłości bliźniego nad egoizmem, ducha nad materyą — te ogólne pojęcia, głoszone niegdyś po raz pierwszy w Europie przez Platona, przyjmuje autor „Potęgi dusz“ nie siląc się—jak powiada — na nadmierną oryginalność.

Wyłączne jego stanowisko zaczyna się dopiero od chwili, gdy mowa o wzajemnem działaniu substancyi.

Prawie wszyscy filozofowie uznawali za konieczny warunek takiego oddziaływania wspólność pochodzenia czyli pierwotną jedność bytu. Lutosławski nie uznaje tej pierwotnej jedności. Według niego, wszechświat składa się z jednostek różnorodnych — jedność zaś jest ideałem, do którego dążą wszystkie dusze, stanowiące wszechświat, czyli ulegające wzajemnemu działaniu. Dążenie to do jedności, czyli miłość, tkwiło więc zakorzenione głęboko w duchu narodu.

Miłość jest tedy cementem spajającym budowę filozoficznego gmachu, wzniesionego przez Lutosławskiego.

„O ile jakaś niezależna jednostka — czytamy — czuje dobrowolnie i bez przymusu tę miłość, o ile dobrowolnie oddaje swe siły dla dobra bliźnich, doznając w tem niewymuszonego zadowolenia, o ile z miłością i z czcią, a bez bojaźni Bożej starego zakonu ulega wyższej Opatrzności—wyznaje *eleuteryzm* (tak nazwał autor swój system). Jeśli korzystając z wolności ulega cielesnym żądzom, korzystając z siły, walczy o byt i ciemięży słabszych—to takiego indywidualistę nazwiemy egoistą, i do bohaterskiego koła Elenteryi go nie przyjmiemy.“

Bezwątpienia, aż dotąd myśli p. Lutosławskiego znajdą gorący oddźwięk w sercach rodaków. Trudniej podobno będzie z dalszemi częściami systemu.

Idąc za mistykami różnych epok i narodów, a najbliżej podobno stojąc naszego Towiańskiego, mówi autor:

„Jestem istotą duchową, nieśmiertelną, nie stworzoną, nie potrzebującą ciała dla swych własnych duchowych czynności. Nie myślę mózgiem, nie kocham sercem, nie gniewam się wątrobą — gdyż myśl, uczucie, wola, są mojemi własnemi czynnościami, odbywającemi się nie w przestrzeni żadnej, lecz w istocie niemateryalnej, bezprzestrzennej — we mnie samym. To, co ja znam z własnego, duchowego doświadczenia, jako samego siebie, jest duszą. Ja jestem duszą, która posługuje się ciałem, jako swojem narzędziem“ i t. d.

„Warunki przyjścia na świat w ludzkiej postaci są przez nas wybrane urodzeniem, lub przynajmniej dobrowolnie przyjęte, choć o tym czynie rzadko kto w ciągu tego żywota pamięta. Każdy człowiek przebył już wiele żywotów na ziemi, wznosząc się powoli, nim doszedł do stopnia zdolności i potęgi duchowej, jakim obecnie rozporządza. Przypomnienie sobie tych ubiegłych istnień wymaga bardzo wysokiego stopnia rozwoju, ale czeka nas w przyszłości. Dziś rzadko kto pamięta przeszłe istnienie, dla tych samych powodów, dla których nie pamiętamy szczegółów dzieciństwa.

„W społecznych stosunkach miłość jest najpotężniejszą dźwignią. Powinniśmy szanować każdą indywidualność i jak najmniej krępować samodzielny rozwój innych przepisami i prawami. Organizacya społeczna będzie najlepszą wtedy, gdy łączyć będzie dobrowolnie współdziałające, najpodobniejsze do siebie dusze, tworząc ognisko sympatyi. Każdy naród stanowi takie naturalne ognisko, które się rozwija i doskonali niezależnie od wszelkich narzuconych mu granic materyalnych, lub krępujących warunków“ i t. d.

Na tle tych zasadniczych poglądów psychologicznych, rozwija autor swoje wyobrażenia polityczne, wychowawcze, społeczne — których urzeczywistnienie wydaje mu się możliwem, gdyby wszyscy obywatele jakiegokolwiek narodu, mieli na uwadze zawsze miłość bliźniego, świadomość nieśmiertelności duszy i przekonanie o ciągłym związku świata ludzkiego z lepszym światem Opatrzności. Takie idealne społeczeństwo nazywa Eleuteryą, a jako najpewniejszy środek zbliżenia się do ideału podaje podniesienie poziomu zakładów wychowawczych.

„Potęga dusz“ jest jedną z najciekawszych książek, które ukazały się w ostatnich czasach w naszej literaturze. Bo jakkolwiek napisaną jest w obcym języku, bezwarunkowo ze względu na ducha, zaliczyć ją trzeba do piśmiennictwa naszego.

H. C.

PREMIÓWKA.

Epizod z naszych czasów.

PRZEZ

A. K. S.

(Dalszy ciąg).

Wykluczonem bo też było z tych rozmów pomiędzy nimi, wszystko, co dotyczyło osoby opowiadającego, a głównie to, coby w jakikolwiek sposób wyglądało na porównywanie epoki minionej z obecną—porównanie, któremu nigdy nie są radzi młodzi. A Stanisław nawet, który przewidywał szereg cały snutych w tym duchu morałów, starć i nudziarstw, i który sobie z góry na ten cel przygotowywał arsenał argumentów tryumfalnych, był tą powściągliwością stryja naturalną lub sztuczną, w upokarzający sposób rozbrojony. Rozpędzać się do skoku, mającego wyważyć drzwi, a znaleźć te drzwi na rozcież otwarte, nie bywa nigdy przyjemnem, zwłaszcza kiedy się nie liczy lat dwudziestu wieku, kiedy się wstępuje w progi uniwersyteckie, a z ławy szkolnej wyniosło już katechizmową pogardę dla tego, co było, i potężny zarodek reformatorskiego powołania.

— Czy myślisz — pytał przy jednym z takich obiadów p. Joachim bratanka — traktować wiedzę przyrodniczą, jako specyalność naukową, czy też uważasz ją tylko za pomocniczą w twoim przyszłym zawodzie?

— W jakim zawodzie?..

— No, sądziłem, że rolniczym, boć rolnikiem zostaniesz prawdopodobnie?

— Nie... oh nie!.. gdzieżby zaś!..

— Pytałem — nic więcej. Ale dlaczego protestujesz tak gorąco, a nadewszystko, dlaczego wydało ci się tak dziwnem z mojej strony przypuszczenie samo?

— Jeśli to można protestacyą nazwać, protestowałem w rzeczy samej, dlatego, że myśl taka nigdy mi jeszcze nie postała w głowie, odkąd zacząłem myśleć o wyborze po-

wołania, a jeśli idzie o ten mój uśmiech, to wywołało go zapewne to, że stryj nazwał to butwienie próżniacze zawodem, podczas gdy...

— No dokończ; ze mną nie potrzebujesz się formalizować, bo ja wszelkim przekonaniom, byle tylko były szczere, przyznaję racyę bytu, a zresztą nie rolnika przecie masz przed sobą, jak o tem wiesz dobrze, więc śmiało! Co w duszy, to na języku, jak mówią ludzie.

— No juźciż przecież zawodem czy profesyą nie godzi się nazywać tego bytu dziwacznego, polegającego właściwie na bronieniu się z większem lub mniejszem powodzeniem pierwiastkowi tak przedsiębiorczemu i energicznemu, jakim jest u nas element żydowski, i na więcej lub mniej drapieżnem wyzyskiwaniu na swoją korzyść klasy pracowników rzeczywistych.

— Czemże tedy będzie według ciebie posiadanie większej własności ziemskiej?

— Albożja wiem jak to nazwać? Mnie się zdaje, że tę pasożytną egzystencyę możnaby z czystem sumieniem nazwać synekurą społeczną, połączoną z uprawianiem na wielką skalę wyzysku—wreszcie, jak kto chce, byle nie powołaniem, zawodem, fachem, bo to do żadnego z tych określeń przystosować się nie daje.

— No, a czy ze stanowiska czysto ekonomicznego biorąc, nie nazwałbyś też tak naprzykład ojca twego producentem chociażby?

— A to z jakiej racyi? Producentem jest ten, kto tę ziemię uprawia, zasiewa, ten, który zbiera...

— A czy tego wszystkiego nie robi twój ojciec?

— Nie widziałem nigdy.

— Seryo mówisz?

— Najzupełniej seryo.

— Więc to tam u was nie wesoło być musi. Patrzajże—nie wyobrażałem sobie, żeby tak daleko zajść miały rzeczy. Skarżył się przedemną niejednokrotnie twój ojciec ustnie i listownie — biadają oni wszyscy, ale my w miastach oswoiliśmy się z temi skargami i nazywamy je wogóle narzekalstwem nałogowem. No, ale skoro tak jest, jak mówisz...

— Stryj nie łaskaw jest zrozumieć tego, co ja powiedziałem. Ja nie utrzymywałem bynajmniej, żeby majątek ojca był w ruinie — zaczął teraz pośpiesznie i z pewnem rozdrażnieniem Stanisław.

— Wszakżeś opowiadałeś, że się tam ani sieje, ani zbiera.

— Owszem i sieją i zbierają, tylko nie ci zbierają korzyści, którym się one z prawa należą, nie ci, którzy...

— Ano widzisz, to tak mów—jasno i zrozumiale. Teraz już wiem o co ci chodzi. Tak—zakończył pan Joachim—tak, jeśli z tego stanowiska rzeczy bierzesz. No tak—naturalnie!

Zapanowała dłuższa przerwa w rozmowie, podczas której stryj udawał niezmiernie zajętego przyniesionym na stół półmiskiem, a raczej jego zawartością, a bratanek ze sztucznym na młodziutkiej i sympatycznej twarzy swojej rumieńcem, nietylko zupełnie o obiedzie zapomniał, ale kręcąc gałki z chleba nerwowo, oczekiwał na dalszy szturm do pracowicie wzniesionej fortecy, którą uważał za schronisko własnych przekonań. Ten szturm jednakże nie nadchodził. Pan Joachim wiedział już to, czego na początek dowiedzieć się pragnął, i nietylko dalszego ciągu ciekawym nie był, ale owszem jak najstaranniej ze swojej strony szczegółowych wyjaśnień unikać postanawiał. Zrozumiał tylko grunt, na którym ścierać się musiał Stanisław z ojcem, i snuł sobie spokojnie wątek domysłów, w których niecierpliwości ojcowskiej dorównywała prawdopodobnie zaczepna napastliwość ze strony syna. Źródła zepsucia się stosunku rodzinnego stawały się dlań teraz aż nadto jawne i widoczne, ale dlatego właśnie ani mu w głowie było snuć dalszy wątek tych niefortunnych dyskussyj, z których prócz coraz wyższego stopnia rozgoryczenia, nic stronom spór wiodącym w zysku nie pozostaje. Wiedział z doświadczenia, że sprzymierzeńca nie miał ojciec oprócz jednego chyba czasu, żadnego, czasowi też postanowił pozostawić wszystko, nie odrzucając wszakże w zasadzie myśli skorzystania z każdej okazyi, która mu się odpowiednią wyda w przyszłości. Do tego jednakże potrzeba mu było wiedzieć jeszcze więcej nieco, niż to, z czem mu się jego bratanek dzisiaj wywnętrzył.

Obiad kończył się; kwestyi nie podnosiła żadna ze stron, chociaż Stanisław, można powiedzieć, radby był, żeby to tak nie było utknęło w początku samym, bo już nabrał był on i tego ducha prozelityzmu społecznego, i tej maniery wojowniczej, stosowanej względem każdego człowieka dojrzalszego wiekiem, w którym mu instynkt nakazywał przeczuwać nieprzyjaciela.

Bolała go tym razem powściągliwość stryja, tak, jak go bolała w domu niecierpliwość jawnie przez ojca okazywana; było coś niewyjaśnionego między nimi — coś niedopowiedzianego, więc pomimo tego, że stosunek dotychczasowy w niczem nie wydawał się naruszonym, młody katechumen czuł, że mu odtąd wypadnie stać z bronią u nogi. Cień jakiś ukazał się młodemu chłopcu po raz pierwszy na tem ich wspólnem pożyciu, a chociaż ten cień rzucił on sam, niemniej nawet ta wyrozumiałość i to milczące godzenie się pozorne wydało mu się podejrzanem. Parę dni potrzeba było, aby wrażenie niezadowolenia wyniesionego z tej rozmowy rozwiało się zupełnie.

Pierwszym kolegą uniwersyteckim, którego pan Joachim mimochodem zauważył u bratanka, był tego ostatniego dzisiaj towarzysz a niegdyś w szkołach jeszcze korepetytor, który z tej racyi przepędziwszy w domu Stanisława jedne wakacye, przepędził i kilka następnych, a potem stał się już jego nieodstępnym, nierozdzielnym, niezbędnym towarzyszem. Z pierwszych słów o nim Stanisława domyślił się pan Joachim w starszym koledze dzisiejszym mentora — w młodszym entuzyastycznego wielbiciela, co zresztą objaśniał i nastrój i kierunek myśli młodego chłopca, który bez dłuższego jakiegoś wpływu z zewnątrz, nie mógł w swoim wieku mieć tylu na różne życiowe zagadnienia gotowych odpowiedzi. Stryj począł pytać ostrożnie, zręcznie, a Stanisław, który tego rodzaju zainteresowanie się osobą jego mistrza uznawał za zupełnie zrozumiałe, z mniejszą niż zwykle powściągliwością wdał się w szczegóły ich kilkoletnich relacyj, i w nakreślenie jaskrawemi barwy krótkiej, ale wiele zapowiadającej karyery przyjaciela. Dzięki tej otwartości dowiedział się pan Joachim najpierw, że przyszły wielki człowiek zwie się Fichten, że posiada zdolności zadziwiające, ale za to ubogim jest zupełnie. To też zmuszonym był trzy lata po ukończeniu szkół poświęcić guwernerce, aby zdobyć środki na wstąpienie do uniwersytetu. Stanisław naturalnie, uważał tę okoliczność za jedno z najcięższych przestępstw, jakich się ślepy los w głupim swoim szafunku dóbr ziemskich dopuścił, bo też ironią prawdziwą było zaprzęgnięcie tej indywidualności do tak mizernej roboty, jaką jest niewątpliwie rozświecanie w mózgownicach dzieciaków szlacheckiej kasty, którą Fichten na mocy doświadczenia uważa za zdegenerowaną stanowczo i nieodwołalnie.

Pięć miejsc miał pedagog przez te trzy lata i zewsząd to samo wyniósł wrażenie; wszędzie wywzajemniano mu się nadto najczarniejszą niewdzięcznością.

— Smutne!..—pomruknął p. Joachim.

— Nadzwyczaj smutne!—potwierdził zapędzony Stanisław, który bynajmniej nie myślał zastanawiać się nad tem, czy im obydwu jeden i ten sam motyw wywołał na usta ów wykrzyknik.

— Dla mnie jest to także sprawa nad wyraz bolesna, a nawet upokarzająca — opowiadał dalej, wszedłszy raz na drogę wywnętrzań, bo i w naszym domu nie zrobiono nic takiego, coby w nim powziętem przekonaniem zachwiać mogło. Nie powiem, żaby go tam u nas spotkało kiedykolwiek ubliżenie jakieś, ale nie takim porachunkiem kończyć się winny stosunki z człowiekiem tak wyjątkowym pod każdym względem. A nie wie on rzeczy dla siebie najprzykrzejszej—nie wie i nie dowie się nigdy, przynajmniej odemnie, że dzięki uprzedzeniu, jakie ma ojciec do niego, powstała u nas ta sztywnosć, ten przymus wzajemny, z ktorego już nie wyjdziemy chyba z ojcem nigdy względem siebie.

— Kto tam przewidzi przyszłość — wtrącił sentencyonalnie p. Joachim.

Stanisław nie zważając na tę przerwę, mówił dnia tego jeszcze długo i wymownie, jak to zwykle miewało miejsce, gdy dosiadał ulubionego konika, opowiadał o wielkiej pana Fichtena wśród rówienników popularności — o wziętości, jakiej się dobił po kilku tygodniach w kołach studenckich, bo już i tu poznano się na nim, oceniono jak należy, jak zasługuje.

Teraz nie przerywał już stryj ani jednem słowem, a kiedy nareszcie sam apologista znużony wstawał od stołu, rzucił mu na zakończenie to niby pytanie, niby uwagę nieznaczącą:

— Czy to jest całe jego nazwisko, to, które przy mojem poznajamianiu się z nim wymieniłeś?

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Jeszcze w sprawie Pomnika.

Przypominają sobie zapewne czytelnicy ze sprawozdania naszego o książce p. Z. Wasilewskiego, iż komitet pomnika summę rs. 21,835, pozostałą w chwili zamknięcia składek, po zaspokojeniu wszelkich potrzeb, wręczył do dyspozycyi syna zmarłego poety, p. Władysława Mickiewicza.

Ten ostatni na tę przesyłkę wraz z odezwą odpowiednią, odpisał pod dniem 18 Lipca r. b. co następuje:

Do Szanownego Komitetu budowy pomnika Mickiewicza
w Warszawie.

Donosząc Szanownemu Komitetowi o odbiorze przysłanego mi przy liście z dnia 7 b. m. przekazu na 58,032 franków, mam sobie za obowiązek oświadczyć, że zgodnie z dawniej wyrażoną myślą komitetu, summa ta będzie użyta przezemnie na przechowanie oraz pomnożenie wszelkich zbiorów, odnoszących się do Adama Mickiewicza.

Jak może to wiadomo Szanownemu Komitetowi, wszystko co posiadałem dotąd z rzeczy dotyczących ś. p. ojca mojego, jako to: druki, pisma, autografy, portrety i t. p., zebrane z niemałą pracą w ciągu lat przeszło 46-ciu i stanowiące niemałą objętość, przeznaczałem za zgodą moich spadkobierców, jako dar dla społeczeństwa polskiego. Owóż suma powierzona mi przez komitet przyczyni się znacznie do ich trwałego przechowania w sposób podobny temu, w jaki pamięć wielkich mężów czczona bywa w różnych krajach.

Obecnie niepodobna bliżej określić ani miejsca, ani innych okoliczności; będzie to podane do wiadomości publicznej w swoim czasie.

Mam zaszczyt pozostawać z głębokim szacunkiem

Szanownego Komitetu powolnym sługą
(podpisano) Władysław Mickiewicz.

Paryż, d. 18 Lipca 1899 r.

Szkoła.

Ministeryum oświaty opracowało w ostatnich czasach projekt obowiązkowego udzielania wiadomości z hygieny w szkołach elementarnych. W szkołach dwuklasowych postanowiono przeznaczyć dwie godziny tygodniowo na wykłady elementarne z dziedziny hygieny, a zarazem urządzać od czasu do czasu dla dzieci i ich rodziców odczyty popularne.

Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa z uwagi, że dotychczasowe niższe szkoły rolnicze są niedostępne dla dzieci włościańskich, a to głównie dla dosyć wysokiej opłaty wpisowej, jaka jest tutaj stosowana, uznało za możliwe pobierać wpis w naturze, jak to się już praktykuje w wielu szkołach rolniczych.

Rada lekarska ministeryum spraw wewnętrznych, powodowana, jak donoszą pisma rossyjskie, sprawozdaniami o powszechnem nieledwie psuciu się zębów wpośród dziatwy uczęszczającej do szkół, postanowiła rozciągnąć kontrolę i uprzystępnić młodzieży środki leczenia się. W myśl tego postanowienia, mają odtąd mieć miejsce periodyczne oględziny dziatwy szkolnej, a zakładom naukowym zaleconem być ma utrzymywanie stałych dentystów szkolnych. Nie można nazwać takiego rozporządzenia zbytecznem tam, gdzie wedle brzmienia sprawozdań urzędowych na zęby cierpi 95% uczącej się młodzieży.

Z początkiem nadchodzącego roku szkolnego kosztem miasta otwarte będą dwie nowe trzyklasowe szkoły miejskie, dla których dziś już są poszukiwane odpowiednie pomieszczenia.

Ministeryum oświaty podaje do wiadomości:

1-o) Że do egzaminów ostatecznych przed komisyami egzaminacyjnemi przy uniwersytetach nie mogą być dopuszczone kobiety, albowiem z prawa tego korzystać mogą tylko osoby, które ukończyły jeden z fakultetów uniwersytetu.

2-o) Że do VIII klasy gimnazyów żeńskich mogą być przyjmowane wyłącznie osoby, które uczęszczały na wykłady języków obcych, lub zdały z nich egzamin dopełniający.

Zatwierdzona przez ministeryum skarbu ustawa normalna dla szkół handlowych wpłynęła na powstawanie i u nas tego typu zakładów naukowych, czego dowodem jest koncesya uzyskana przez Andrzejczaka na otwarcie szkoły handlowej wraz z internatem we Włocławku. Postaramy się streścić główniejsze rysy tego, w istocie nowego pod względem wychowawczym, zakładu.

Szkoła ma kurs czteroletni, ale ponieważ są dwie klasy przygotowawcze: wyższa i niższa, cały zatem okres nauki uważać właściwie można, jako sześcioletni. Dalej dowiadujemy się, że kandydować mogą o przyjęcie ci wszyscy, którzy ukończyli szkołę elementarną miejską dwuklasową, albo którzy zdadzą odpowiedni egzamin wstępny. Wiek obowiązujący dla klasy I-ej jest między 11 a 14 rokiem życia. Nakoniec z przepisów ogólnych mamy do nadmienienia, że w klasie wstępnej opłacają uczniowie rs. 80 — w innych 100 rs. rocznie. Koszta internatu wraz z nauką rs. 350. Szkołą zarządza inspektor zatwierdzony przez ministeryum z pośród nauczycieli przedmiotów specyalnych, nauczycieli zaś dobiera inspektor. Kończący szkołę korzystać mogą, pod względem powinności wojskowej, z praw przysługujących tym, którzy otrzymują świadectwa z ukończonego kursu nauk w zakładach naukowych III rzędu.

Do liczby przedmiotów wykładanych, zalicza ustawa w klasach przygotowawczych: arytmetykę, algebrę, geometryę, historyę powszechną — języki rossyjski, polski, niemiecki i francuzki. W klasach specyalnych: arytmetykę handlową, buchhalteryę, prawo handlowe i przemysłowe, geografię handlową wraz ze statystyką, korespondencyę handlową w 4 wymienionych wyżej językach—towaroznawstwo, kaligrafię, śpiew i rysunek.

Szkoła we Włocławku ogłaszając o swojem otwarciu, wspomina, że posiadać będzie dla użytku uczącej się młodzieży: bibliotekę, gabinet fizyczny, laboratoryum chemiczne, a także zbiór prób towarów — jednem słowem, że mieć będzie wszelkie wymagane pomoce naukowe.

Program takiej szkoły zawodowej przedstawia się w istocie korzystnie; rzecz w tem jednakże, do jakiego stopnia wykonanie samo odpowiedzieć może założeniu, nadto gdy idzie o Włocławek i miasta jemu podobne — a równie o środki człowieka pojedynczego, a choćby i grupy pewnej. Gabinety, muzea, laboratorya, to są rzeczy drogie—bardzo drogie, a i same nawet siły naukowe odpowiednie do potrzeb, o wiele taniej zrekrutować się dają w ogniskach ruchu szkolnego, aniżeli w miejscowościach odległych i małoludnych, w których specyaliści nie mają dostatecznych dla osiedlania się widoków.

Jest też jeszcze inny szkopuł dosyć ważny, a nawet najważniejszy zdaniem naszem. My potrzebujemy kupców i przemysłowców—to fakt niezaprzeczony, ale potrzebujemy nadewszystko ludzi w najogólniejszem rozumieniu, którzyby przytem byli jeszcze i kupcami jak się należy, jeśli im ta karyera i ten fach do usposobienia, zdolności wrodzonych i wogóle kierunku umysłowego przypadną. Nie widzimy tutaj miejsca na namysł, na rozwagę—nie znajdujemy czasu na obiór powołania, bo oto opowiadają nam, że 11-letnie dziecko oddaje się do szkoły specyalnej w jakimś Włocławku naprzykład, i że nie daje mu się na lekarstwo duchowe nawet dla pokosztowania, tych humaniorów, które muszą przecież także mieć swoją wartość pedagogiczną w rozwoju człowieka, skoro się tyle zakładów edukacyjnych na nich opierało i opiera do tej pory. Dodajmy do tego internat i atmosferę nieuniknioną, a będziemy mieć coś, co oby się nie okazało *ultra* w najwyższym stopniu.

Na rozmysł rodziców, dotyczący indywidualności dziecka, żadnych tu niema widoków, a jednakże jest to wzgląd — ach jaki ważny i obowiązujący wzgląd!

Nadesłano do Redakcyi.

Bezimiennie z Kriwoj-Roga kop. 25 na Stacye Męki Pańskiej w Częstochowie.

Wskazówki i rady.

Galareta czarna.

Dwadzieścia kwaśnych leśnych lub opadłych z drzewa jabłek pokrajać w kawałki, nalać wodą, tak, aby je tylko objęła i rozgotować na miękko, wtedy przecedzić płyn przez rzadkie płótno. W drugim rondlu ugotować kwartę czarnych jagód, także w bardzo małej ilości wody, gdy popękają i sok dobrze puszczą, wziąść pół kwarty jednego płynu i pół drugiego, wsypać półtora funta mączki cukrowej i gotować na wolnym ogniu z godzinę, szumując starannie, tak jak się wszystkie galarety gotuje, w końcu wsypać kawałeczek wanilii tłuczonej i przesianej dla zapachu.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

☛ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

LABORATORYUM Chemiczno-Farmaceutyczne **Apteki M. MALINOWSKIEGO** w Warszawie, Nowy-Świat 35, telefonu 190

94 wyrabia **mydła** lekarskie **przetłuszczone:** Borne, Benzoesowe, Lanolinowe, Lecznicze, Wazelinowe **udelikatniające i chroniące skórę od pękania i łuszczenia się; antyseptyczne** oraz zastosowywane przy różnego rodzaju chorobach skóry przez lekarzy.

Fabryka Parasoli i Tokarstwa
H. KIEFFER i S-ka 33
w Warszawie, Bielańska Nr. 4, drugi dom od Senatorskiej.
Poleca wybór parasolek i parasoli. Wykonywa obstalunki, pokrycia i reperacye.

KATHREINERA KAWA SŁODOWA KNEIPPA

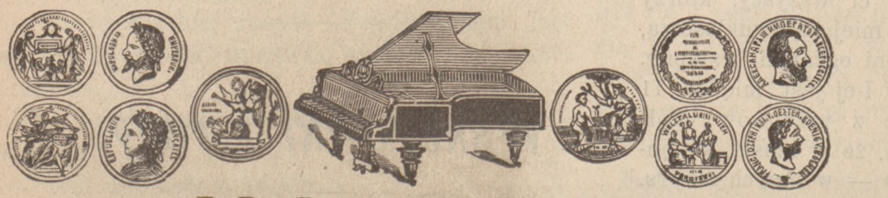


Zastępuje kawę ziarnistą i jest do tejże domieszką. Gorąco polecona została przez księdza Kneippa i jest jedyną, której dozwolono nosić wizerunek jego i podpis. 81 C

Monachium, Akc. Tow. „Livonia"—Ryga.

PIERWSZORZĘDNA SZKOŁA KROJU I SZYCIA
N. TISSERANT
MISTRZYNI CECHOWEJ
ŻÓRAWIA Nr. 9.
Przygotowywa gruntownie na wzór paryzkiej Szkoły **„Moniteur de la mode"**. Po ukończeniu nauki i złożeniu egzaminu w Urzędzie Starszych uczennice otrzymują świadectwa cechowe na mistrzynie i podmistrzynie. Przy szkole pensyonat z fortepianem oraz pracownia sukien i okryć. Na czas wakacyi ceny kroju zniżone. 92

Pracownia Sukien i Okryć Damskich
b. krojczyni firmy *B. Herse.*
JADWIGI ESMAN, 64
KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE, HOTEL SASKI 116, 1-e piętro.
Pracując przez lat kilka w pierwszorzędnych magazynach **w Paryżu** jak: **Rouff, Felix i Doucet**, następnie zarządzając czas dłuższy pracownią W-go Hersego, obecnie przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres konfekcyi damskiej wchodzące, z własnych lub powierzonych materyałów. Obstalunki na prowincye wykonywa się podług przysłanej miary.



MAŁECKI
Fabryka Fortepianów i Pianin
Jedyna fabryka w kraju nagrodzona medalami na wszystkich wystawach wszechświatowych 71M
17. Krakowskie-Przedmieście 17.

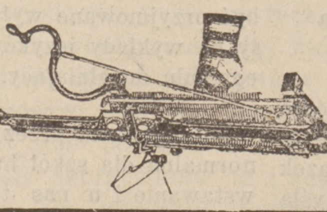
Nowootworzony skład dywanów *ul. Erywańska 14.*
p. fir. K. Kruszyński i L. Miciński
poleca: wybór firanek, obić meblowych chodników i t p. — Ceny nizkie.
Sprzedaż za gotówkę i na raty. 1028-52-35

SPECYALNA SZKOŁA
Kroju i szycia z pensyonatem
ANTONIEGO WARSZAWSKIEGO
oraz pracownia sukien i okryć.
Patenty cechowe. Wykład w 4-ch językach.
Kurs kroju sukien Rub. 12.
Metoda kroju francuzka i angielska poprawiona przez wieloletnią praktykę moją zagranicą.
Nowy-Świat № 12. 978

W Zakładzie Naukowym Żeńskim
z pensyonatem i kl. przygotowawczą
Bronisławy Golańskiej
Warszawa, Krucza 37.
Zapis uczenic odbywa się codziennie. Warunki przystępne. Konwersacya w obcych językach, korepetycye, tańce i lekcye muzyki. Zapewnia się troskliwą opiekę. 95
Egzamina rozpoczną się z dniem 25 sierpnia.

Dozwolone przez Urząd Lekarski na ogólnych zasadach handlu za Nr. 1496, jako środek nie zawierający szkodliwych domieszek.
PIEGI i PLAMY
usuwa
„DERMINA"
Prowizora Wągrowskiego.
Żądać w aptekach, składach aptecznych i perfumeryach. Główna sprzedaż w Warszawie w aptece **H. Huberta, Plac Grzybowski 10.**
Całe pudełko rb. 1 kop. 20, pół pud. kop. 60. 91

W ZAKŁADZIE NAUKOWYM VI-o KLASOWYM ŻEŃSKIM
JADWIGI TACZANOWSKIEJ
(dawniej LEONTYNY VACQUERET)
Marszałkowska N-r 129.
Zapis uczenic przychodnich i pensyonarek rozpocznie się 5 sierpnia.
Przyjmuje się panienki od lat 8. 93

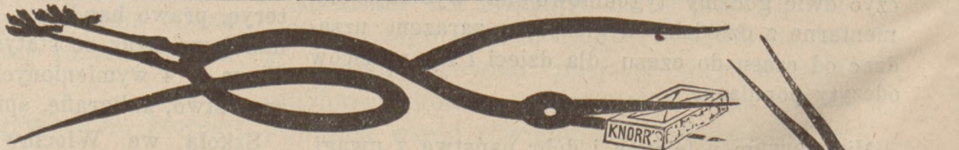


Maszyny Pończosznicze
znanej marki **„The Berg Machine"** za gotówkę i na rozpłatę. 985A-26-24
JULJAN BERG
Mazowiecka 16.

Sensacyjna Nowość
dla Pań!!



Nowo-wynaleziony patentowany elastyczny
gorset Pabsta
nie gumowy,
poddający się każdemu ruchowi bez uciskania ciała, a mimo to nadający figurze piękne kształty, trwały i nader swobodny w noszeniu, słowem prawdziwe dobrodziejstwo dla dbających o swe zdrowie pań,
poleca FIRMA
„SWOBODA"
Marszałkowska Nr 118, 1-sze piętro.
Cena stała rub. 7 kop. 50.
Zlecenia zamiejscowe wykonywamy bezzwłocznie za zaliczeniem pocztowem. Do obstalunku należy dołączyć obwód stanu (na sukni) lub rozmiar talii jednej połowy używanego gorsetu.
Adres dla listów: „SWOBODA" WARSZAWA.
Wyłączna sprzedaż na całą Rosyę i Królestwo Polskie. 85



Sprzedaż dozwolona przez Warsz. Urząd Lekar. za Nr. 2429 na ogólnych zasadach handlu.

MĄCZKA OWSIANA KNORRA
Najlepszy i najpożywniejszy
Pokarm dla dzieci.
Wyborowa TAPIOKA brazylijska
(Marka „UL")
Sprzedaż w aptekach, składach aptecznych, handlach kolonialnych i spożywczych.
Skład główny w domu handlowym
Jgiełło i Korzycki, Warszawa.



APTEKA K. WENDY | 45. Krakowskie Przedmieście 45. w Warszawie. 45 | ***Wody mineralne wszystkich źródeł naturalne i sztuczne.***

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Z lóż, z parteru, z galeryi, obrócono wzrok ku nieznajomej; lękano się zaufać pierwszemu wrażeniu; podniesiono szkła, przetarto je, nastrojono; zakołysały się głowy jak kłosy na łanie. Znajomi, kto gestem, kto słowem, ten zblizka, ów zdaleka, dawali sobie znaki; dopytywano się o nazwisko; nowej i niesłychanej piękności zjawienie wzbudziło powszechną ciekawość.

Marya sama, nie mogła się oprzeć silnemu uczuciu podziwienia; nadaremnie usiłowała odgadnąć kto była młoda kobieta; nie spotkała jej dotąd w żadnym salonie, a jednak z postaci jej, z ruchów, z drobnych szczegółów wykwintnego stroju, łatwo można było poznać, że należała do wysokiego towarzystwa.

Akt kończył się, zapadła zasłona; w sali głuche szepty ustąpiły miejsca półgłośnym rozmowom, tyczącym się widocznie ostatnio zajętej loży, od której nie odrywano oczu gwoli zuchwałemu a przyjętemu na publicznych widowiskach zwyczajowi.

Przestanki w teatrze były zwykle chwilą, gdzie Marya ciągnęła ku sobie prąd spojrzeń i odwiedzin. Hrabina wówczas zwycięzko zastępowała świetnej młodzieży muzykę a nawet tańce; tłum garnął się ku jej drzwiom, rój szkieł celował w jej lożę.

Dziś, po raz pierwszy upływały minuty a nikt nie przybywał; twarze widzów jednozgodnie zwracały się w stronę przeciwną.

Marya lekko przygryzła usta; chmurka niezadowolenia przemknęła po jej czole, ciekawość jęła wyciągać myśl na męki; hrabina dumała nad srogimi środki ku powróceniu do posłuszeństwa zbuntowanych dworzan.

Gdyby przynajmniej wiedzieć komu zawdzięczała nieprzebaczone osamotnienie?...

Drzwi loży uchyliły się zwolna, i wszedł markiz Viomenil, młody sekretarz francuzkiego poselstwa.

Marya odetchnęła; Francuz nigdy od niej nie doznał tak uprzejmego przyjęcia.

— Przybywaj pan — rzekła sypiąc mu od razu wszystkie róże uśmiechu — zabłąkałam się dziś do teatru i dotąd jeszcze błądzę; jeżeli nie podasz mi pani nici, nie wybrnę z labiryntu domysłów.

— Gotów jestem — odparł Viomenil, Minotaura nawet zamordować; racz mi go pani tylko wskazać.

— Nieżądam tak wielkiej ofiary. Czyliż pan nie przewidujesz, że zagadka dzisiejszego wieczoru, równie żywo mię zajmuje jak innych?... Kto jest ta zachwycająca kobieta naprzeciw nas w loży?... Przyznaj pan że w życiu nie widziałeś piękniejszego stworzenia.

— Przyznam, jeśli pani rozkażesz, ale postąpię wbrew memu przekonaniu. Buckingham zapytany przez królową Annę, którą z dworskich dam uważa za najpiękniejszą? odpowiedział, że trudno sądzić o gwiazdach w przytomności słońca.

— Na miłość boską, zostawmy dawne historje! — proszę pana o nowoczesną; niechże raz dowiem się, jak mamy nazywać to cudowne zjawisko?

— Mówisz pani o kobiecie, która zdaje się chcieć ubiegać o palmę piękności w naszem towarzystwie?... Biedaczka!... zapóźno przybyła; pierwsze miejsce oddawna już zajęte.

— Piękna nieznajoma należy więc do towarzystwa?... Dla czegóż dotąd nigdzie jej nie spotkałam?...

— Hrabina Zapary wczoraj dopiero przybyła z Medjolanu.

— Do Wiednia — na stałe mieszkanie?

— Tak słyszałem; młoda małżonka, od kilku zaledwie miesięcy nosi nowe nazwisko. Włoszka z urodzenia; w żyłach jej płynie krew Boromeów i Barberinich.

— Sama jedna — bez męża?

— Hrabia Zapary nadejdzie zapewne przy końcu sztuki; może nawet się nie pokaże.

— Jakto — od kilku miesięcy pobrani i już z sobą nie żyją?

— Przebacz mi Pani; małżeństwo to dotąd cieszy się niezachmurzoną zgodą, ale hrabia ma swoje zwyczaje, hrabina zaś pragnie uchodzić za wzór wyrozumiałości.

Mówią, że po żonie, główną jego namiętnością są posiedzenia przy zielonym stoliku. Hrabia uchodzi za jednego z najgrubszych graczów. Bardzo być może, że dawny jego przyjaciel lord Fitz-William zaprowadził go dziś na tygodniową partyę do rossyjskiego posła.

— W takim razie może niesłusznie umieszczasz pan namiętność do żony przed namiętnością do gry?

— Hrabina podobno mojego jest zdania; kto wie czyli dla własnej spokojności nie woli widzieć męża topiącego wzrok w malowanych, niżeli w żywych obrazkach.

— Ach, pozwala sobie być zazdrosną! — rozumiem! — inaczej nie byłaby Włoszką.

— W istocie, powiadają o niej, że wyraz jej twarzy wiernie odbija duszę; zamknięta w sobie, mało rozmowna, z łatwością przechodząca w ostateczne wrażenia, namiętna, gwałtowna; — podobne o niej krążą pogłoski.

— Jednem słowem, panie margrabio, niepospolita kobieta; taką przynajmniej wydaje się na pierwsze wejrzenie i taką być musi, skoro niedawniej jak wczoraj przybyła, a już miano czas zebrać o niej tyle szczegółów.

— Moje wiadomości hrabino, pochodzą z dawnego świata; widziałem panią Zapary w Medjolanie i w Wenecyi, kiedy była jeszcze panną. Pięknością, nigdy zbyt mnie nie uderzała; nie przepadam za tego rodzaju wdziękami. Kilka ciekawych zdarzeń, które z jej powodu opowiadano, zwróciły na nią powszechną uwagę.

— Ach, kilka zdarzeń!... musisz pan je pamiętać?

— Jak przez mgłę; Kongres w Weronie, na który towarzyszyłem wówczas panu Chateaubriand, wyłącznie wszystkich zaprzątał. Przypominam sobie jednak że chodziła rzecz o dwóch pretendentów do ręki, obu śmiertelnie zakochanych. Jednym był synowiec ministra Hardenberga, drugim, jeśli się nie mylę, grand hiszpański książę Infantado; oba ludzie młodzi, niedoświadczeni, i jak później się pokazało, nadwerężonego nieco umysłu — zapewne wskutek rozdrażnienia namiętnych uczuć.

— I cóż się z nimi stało?... Uprzedzam, że akt niedługo się zacznie; historya pańska zbyt mnie zajmuje, abym przed podniesieniem zasłony nie miała usłyszeć jej rozwiązania.

— Obu zalotników spotykałem często razem; żyli z sobą w przyjaźni, każdy przekonany był, że szala pomyślnego wyroku chyliła się na jego stronę. Zaręczano mi, że hrabina z dziwną zręcznością utrzymywała ich w tem przekonaniu. Później atoli, gdy przyszło stanowczo się wytłomaczyć, minister, dla niewiadomych przyczyn, zabronił synowcowi myśleć o małżeństwie; wyprawił z depeszami do Londynu, chcąc umieścić go tam przy ambasadzie, hrabina zaś przyzwyczajona do ciągłego widoku dwóch gorejących serc, nie chciała słyszeć o jednem, i z niczem odprawiła hiszpańskiego granda.

— I na tem koniec?

— Bynajmniej; depesze ministra nie doszły do Londynu.

— Dla czego?

— Nieszczęśliwy kochanek kulą z pistoletu życie zakończył.

— Ach mój Boże!... a drugi?

— Książę Infantado nazajutrz po odmowie wstąpił do klasztoru Kartuzów.

— Biedna kobieta — być przyczyną tylu strasznych wypadków!... ileż musiała wycierpieć!

Viomenil uśmiechnął się.

— Zabójstwo z miłości — rzekł po chwili — nie szpeci pięknej kobiety, dla której zostało dokonanem. Krwawe wspomnienie wdzięcznie przystaje do czarnych włosów hrabiny. W Medjolanie lud śpiewa o tym wypadku balladę; jestem pewny, że heroina poematu nieraz z przyjemnością jej słuchała.

— Dodatek złośliwych języków, panie margrabio; przypatrz się pan tym zachwycającym rysom.—Bóg nie odziewa zatwardziałych serc w tak powabne kształty. Czy sądzisz pan, że hrabina zechce odrazu wejść w nasze towarzystwo, przyjąć nasz tryb życia?...

— Bezwątpienia. Jeżeli pani, jak ośmielam się zgadywać, masz zamiar być dziś na wieczorze u Dietrichstejnów, zaręczam że spotkasz tam zajmującą Włoszkę.

— Miałam tę myśl dzisiejszego poranku, ale teraz, wątpię, czy przyprowadzę ją do skutku. Nieznośny ból głowy; próżno spodziewałam się rozpędzić go muzyką.

— Przez przyjaźń dla Dietrichstejna, nikomu na dole nie udzielę tej groźby; niechcę mu opustoszać salonów.

Akt zaczynał się; dźwięki muzyki przerwały dalszą rozmowę; Viomenil wyszedł z głębokim ukłonem, unosząc jedno z tych spojrzeń, które na cały wieczór wypromieniło mu oblicze.

Był to ostatni błysk pogody na czole Maryi.

Hrabina sama nie umiała zdala zdać sobie sprawy z chmur, jakie coraz gęściej zachodziły jej na umysł. Kilka następnych odwiedzin w loży i rozmów, z których każda zataczała się około nowej przybyłej Włoszki, zmęczyły ją jednostajnością przedmiotu, zachwytów nad nim, i uwagi. Ból głowy z udanego, stał się rzeczywistym; Marya wróciła do domu pierwszy raz niezadowolona z siebie i z ludzi, zmarszczona na świat, gniewna na długą nieobecność męża, w braku innej wyraźnej przyczyny, nieusprawiedliwionych trosk i nieusposobień. Śpiewacy włoscy niegodziwie dziś śpiewali; tenor fałszował bez miłosierdzia, orkiestra grała na rozstrojonych instrumentach; w muzyce włoskiej jak we wszystkiem co pochodziło z Włoch, niewykształcone tylko umysły mogły znajdować upodobanie. Towarzystwo wiedeńskie nie zawsze bywa zabawnem; tylu ludzi nudnych i bez smaku zatruwało nieraz najweselsze chwile!

Marya poczuwała jednak w sobie niewyczerpane źródło sił; jedno za drugiem wybłyskały skryte zasoby zalotnych ponęt, uroków i czarów W krótkim czasie, z zadziwiającą dokładnością, umiała obrachować wartość i moc każdego słowa, każdego uśmiechu, westchnienia, poglądu. Niepodobieństwem stało się dla niej, na chwilę o sobie zapomnieć, tak bujnie świat rozwinął w niej wrodzone zalety.

Dotąd obie szermierki potykały się tylko o samą mnogość orszaku; gonitwa miała nabyć nowego zajęcia w razie, gdyby jeden i tenże sam cel przedstawił się nagle roznamiętnionym przez współzawodnictwo ich usiłowaniom.

Sposobność nie długo dała na siebie czekać. Szczęśliwem zdarzeniem wracał właśnie z podróży i wchodził w towarzystwo książę, dajmy na to—pan w kwiecie wieku, i jak mówiono, chciwy życia i dziwnie pochopny ku miłosnym zapędom.

Książę nie błyszczał urodą; posiadał bezbarwne oczy po obu stronach zwieszonego pałkowate go nosa, słowem, z pozoru, wielce przypominał poetyczną igraszkę dawnych Hellenów, Satyra, którego także skłonności i popędy powszechna wieść mu przypisywała.

Książę nie usychał również od rozumu; często odpowiadał na opak, otwierał szerokie usta, śmiał się nieraz w braku słów, hałaśnie nad wszystkiem zadziwiał, na pokłonach atoli dostatecznie się rozumiał i pochlebstwa dworzan, jak przystało na człowieka jego znaczenia, łaskawie raczył przyjmować.

Książę od pewnego czasu, z widocznem upodobaniem zatrzymywał się przed panią Zapary; na Maryę również wytrzeszczał zaiskrzone oczy; spotkawszy obie razem, stawał nieruchomy, słupiał, nie wiedział ku której wprzód się obrócić.

Dostrzeżono, że wahał się nad wyborem. Obie kobiety postanowiły oszczędzić mu długich udręczeń niepewności; każda na podesłaniu sobie księcia pod nogi, upatrywała godne swoich wdzięków zwycięztwo, tryumf do pozazdroszczenia i nowy blask w towarzystwie, upokorzenie współzawodniczki i ostateczne ustalenie swojego wszechwładztwa, albowiem potentat przykładem swoim, w tęlub ową stronę, resztę orszaku za sobą pociągał.

Hrabina Zapary, pomimo dostojności zalotnika, gwoli swojemu charakterowi, wstępnym bojem, przemocą, uderzała na zdobycz; Marya spodziewała sie tenże sam cel osiągnąć na drodze łagodnych niewieścich uczuć, ugłaskań czarownym urokiem obejścia, znęceń słabością raczej niżeli siłą.

Książę zaczynał lękać się gwałtownych porywów Włoszki; Galicya brała górę nad Medjolanem.

Sokolnik, jako prawdziwy patryota, z radością poglądał na ród swój popierający ojczystą sławę; wprawnem okiem dostrzegał o co chodziło, gryzł się nieraz widząc wrażenie jakie hrabina Zapary sprawiała na książęcym umyśle, i znowu z weselem ręce zacierał, gdy Marya odzyskiwała stracone chwilowo pole.

Być ojcem kobiety zaszczyconej względami Księcia!... uszczęśliwiony, na samą tę myśl, z upojenia, od zmysłów prawie odchodził. Miałże w istocie Bóg szczodrobliwy tak dalece przepełnić miarę jego marzeń, nie pozostawić mu w życiu nic do życzenia? nic, — oprócz...

Sokolnik obejmował się rękami za szyję, jak gdyby upatrywał miejsca... nie na to, na co rzeczywiście zasługiwał, ale na cel dawnych snów, przedmiot najgorętszych nadziei, na złotego baranka, który miał zgładzić jego niepokoje, dać mu zbawienie od trosk ziemi, postawić go na równi z pierwszymi dostojnikami Cesarstwa. Magnat wzdrygał się pomyśleć o śmierci, nie otrzymawszy wpierw orderu Złotego Runa. Oznaka ta ze wszech miar mu przynależała; w wierności i nieograniczonem przywiązaniu do tronu i do osoby Księcia Kanclerza nikt mu nie zdołał wyrównać; nadto, zaciekła tylko niesprawiedliwość mogła niepoczytać za zasługę, ojcowstwa córki upodobanej przez tak uprzywilijowaną osobę.

Przed kilkoma laty, zawistne języki byłyby mu zarzuciły nadwerężony stan majątku; wysoka oznaka Złotego Runa nie przystawała do człowieka podupadłego na kieszeni; dziś, zarzut podobny przez niczyją myśl się nie przewijał.

Dzięki zachodom i niezmordowanej pracy Piotra Poraja, Sokolnik wybrnął z kłopotów, postawił się magnatem nietylko z rodu ale i z dostatków; majątek jego przyprowadzony do porządku, ożywiony wyłożonemi przez Piotra sumami, z każdym dniem wzmagał się w wartość i dostarczał mu nowych zasobów.

Dygnitarz nie pojmował szczególnych przywidzeń szlachcica który, sam bogaty, zamiast przesiedlenia się do stolicy i używania życia, niewytłumaczoną, niepojętą znajdował przyjemność w borykaniu się z cudzymi kłopotami, w ciężkiej i nieustannej pracy cudzą korzyść mających na celu.

Ale każdy człowiek miał swoje dziwactwa, swoje namiętności, każdy prawie cierpiał na właściwą sobie mózgową chorobę. Sokolnik z radością dostarczał szlachcicowi obfitego zatrudnienia dla jego monomanii, łaskawie przyjmował owoce jego trudów, obławiał się jego pracą, i raz na miesiąc słał mu dziękczynne listy, w których ze łzami w piórze wynurzał swoją wdzięczność, padał na twarz przed jego gospodarskiemi zdolnościami i poświęcenie drogiego przyjaciela pod niebiosa wynosił.

Piotr nie wiele dbał o grzeczności; wyzwalając majątek magnata od zatraty, która wszystkim zdawała się nieuchronną, w udowodnieniu przed światem niepospolitej biegłości, w pokruszeniu zawad wolą, siłą i pracą, upatrywał dla siebie nieprzezwyciężoną ponętę i dostateczną nagrodę.

Poraj nikogo niemiał na świecie; dla własnej korzyści pracować nie potrzebował, bez pracy zaś żyć nie mógł; musiał wreszcie zaprzepaścić gdzieś gryzącą boleść, jaką rozłączenie z bratem zatruwało mu wszystkie godziny. Pomoc swoją przyobiecał był Sokolnikowi wówczas, gdy mniemał że dla własnej rodziny bierze się do pracy. Nadzieja ta spełzła wcale nie z winy magnata; Piotr gorliwy czciciel danego słowa, postanowił wynagrodzić zawód uczyniony przez jednego Poraja, dotrzymaniem obietnicy i poświęceniem ze strony drugiego brata.

Sokolnik zostawił szerokie pole szlachetnej działalności ziemianina, pojmując do pewnego stopnia zadowolenie, jakie człowiek pospolitego rodu znajdował w pozyskaniu względów dygnitarza, zaszczyconego łaską Dworu.

Szambelan tymczasem wracał z Paryża, wracał z pełnemi rękami doniesień, podsłuchów ważnych — ze szczególną zręcznością zdobytych wiadomości. Ulubieniec Fortuny, ani marzył o zaszczycie, jaki w jego nieobecności rozbłysnął nad domem Fürstembergów, nienasycony atoli szczęściem, więcej jeszcze zapragnął; zażądał dla siebie dotykalniejszych korzyści, w istocie bowiem, względy Księcia tyczyły się bardziej żony niż męża, i cichaczem mówiąc, o tyle tylko miały wartości o ile pozwalały upożytecznić się do wyzyskania w świecie znakomitego stanowiska.

Szambelan w ostatniem posłannictwie przekonawszy rząd o dyplomatycznych swoich zdolnościach, mógł śmiało pokusić się o ambasadę lub przynajmniej o poselstwo; napomknął więc zlekka o celu swych życzeń Księciu Kanclerzowi; łasił się mu, nadskakiwał, pochlebiał, patrzył w oczy szukając przychylnego dla siebie spojrzenia, ale minister, bądź, że potrzebował mieć przy boku gotowego na wszystko podwładnego, bądź że nie uważał za dostateczną jego zasługi lub, że niemiał w tej chwili do rozporządzenia stosownego miejsca, — udawał, że nie domyśla się natrącań o poselstwie. Nie szczędził wprawdzie łaskawych słów, stanowczo atoli zagabnięty, skręcał, lub czasami nawet zimno ucinał rozmowę.

Szambelan nie oddawał się rozpaczy ani nawet zwątpieniu; głowę nie dla ozdoby dźwigał na karku, i w kołczanie fortelów niejedną niósł strzałę.

Kanclerz obojętnie go teraz przyjmował, inaczej atoli działo się z Kanclerzyną.

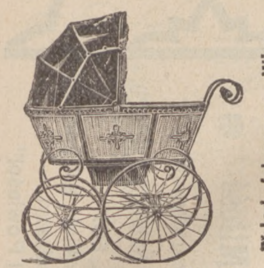
(Dalszy ciąg nastąpi).

TOWARZYSTWO AKCYJNE

WŁ. GOSTYŃSKI i S-KA

FABRYKA WYROBÓW ŻELAZNYCH

WARSZAWA, Mokotowska Nr. 3.



Skład fabryczny: Wierzbowa 3.

POSIADA NA SKŁADZIE W WIELKIM WYBORZE:

MEBLE ZELAZNE wszelkiego rodzaju: ogrodowe, domowe, szkolne, szpitalne i dla sal chirurgicznych; **Wózki i Welocypedy dziecinne**; Łóżka systemu angielskiego i wiedeńskiego. **Konstrukcye Żelazne**: mosty, wiązania dachowe, oranżerye i t. p., **okna, drzwi, bramy, kraty, balkony**, schody wszelkich konstrukcyi, okiennice składane patentowane. **Wagony Pasażerskie i Towarowe** dla dróg żelaznych podjazdowych. **Kolejki wązkotorowe:** stałe i przenośne oraz wagonetki i taczki wszelkich typów; **Narzędzia kolejowe. Lewary. Slusarstwo ozdobne i Stylowe:** okucia, świeczniki, latarnie, pomniki, żyrandole. **Wyroby blacharskie i kotlarskie:** wanny, piecyki, prysznice, lodownie pokojowe, kubły, klozety, rezerwoary. **Odlewy żelazne**, drzwiczki hermetyczne do pieców. Ruszty. **Prasy do kopjowania. URZĄDZENIA STAJEN i ŁAŹNI.**

CENNIKI NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE. 62

Filje: w Łodzi: Piotrkowska 81 w Moskwie: Rożdiestwienska dom Tretjakowych.



Filje: w Łodzi, Piotrkowska 81; w Moskwie, Rożdiestwienska dom Tretjakowych; w Kijowie, I. Kühmaer, Fabryka i Skład Mebli, dom własny; Petersburg, Newski Prospekt N-r 42, dom Armiańskiej cerkwi, vis a vis Gościnnego dworu.

Dr. A. BUCKIEWICZ

Wilcza Nr. 28.

Choroby **wewnętrzne** (zwłaszcza „reumatyzmy" i nerki) oraz skórne (zależne od wewnętrznych, np. plamy, wilki, skrofuły, liszaje, etc.) tudzież skrofuły oczu.

Krom poniedziałków, codziennie od **12** do **1** i od **5—6**; w niedzielę i święta do **10** rano. Ubogich bezpłatnie. 10

MAGAZYN MEBLI

ANTONIEGO STRÓMIŁO

Bracka Nr. 25.

Poleca: Kredensy, Szafy, Stoły, Łóżka, Umywalnie, Bieliźniarki, całkowite urządzenia pokoi Sypialnych i Stołowych, oraz wielki wybór Mebli wyściełanych.

CENY NIZKIE. 1026-52-35

Biuro pomocy prawnej

dla drobnych kupców i rzemieślników

(Adw. Stanisław Pawiński, Władysław Korycki, Józef Ostroróg-Sadowski i Wacław Laskowski) przeniesiono na ulicę **Świętokrzyska № 5.**

Biuro otwarte od 10 rano do 3-ej po połud.

Władysław Popiel

Jubiler. Egzystuje od 1858 r.

Warszawa, Senatorska Nr. 6

Poleca wielki wybór biżuteryi gustownej po cenach przystępnych. 1016-26-19

S. KRZEWSKI i K. PŁODOWSKI

dawniej

M. SZYMAŃSKI

Skład Towarów Żelaznych i Galanteryjnych *w Warszawie, Senatorska № 10* poleca: **Naczynia kuchenne i gospodarcze oraz wszelkie narzędzia.** 913-28-28

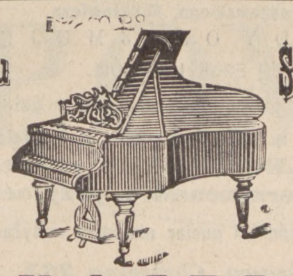
K. M. Schröder

Nowy Świat 24.

Skład fortepianów i pianin. Wynajem i sprzedaż na raty.

Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco.** 944—53—49

Największe w Kraju Składy Fortepianów,



Pianin i Melodykonów

HERMAN i GROSSMAN

WARSZAWA, Mazowiecka № 16.

St.-PETERSBURG, MOSKWA, LUBLIN.

WYNAJEM. — Sprzedaż na rozpłaty miesięczne począwszy od 25 rubli.

Illustrowane katalogi na żądanie franco i gratis. 59

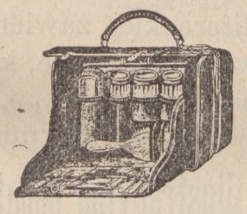
Pierwsza specyalna fabryka

wyrobów skórzano-galanteryjnych i przyborów podróżnych

B-ci NEUMAN, w Warszawie 17

5. Bielańska 5.

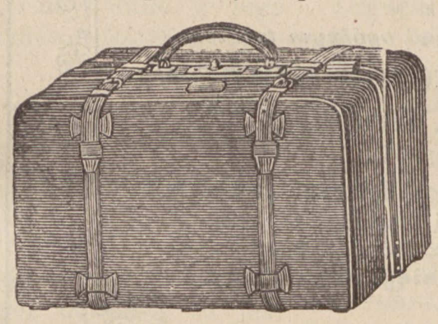
Poleca wielki wybór: Waliz, toreb, nesseserów podróżnych, pudełek do kapeluszy skórzanych i drewnianych, kuferki, ramki, albumy, pledy, paski, portfele, pugilaresy, portmonetki, portcygary po cenach hurtowych.



od R. 3 do R. 25.

Przyjmuje się zamówienia na pojedyńcze sztuki.

Wysyła się za zaliczeniem.



od R. 2,50 do R. 20.

tylko Bielańska 5

tylko Bielańska 5

!! Dla tego tanio, bo na 1-em piętrze !!

Dywany, materyały meblowe, firanki, serwety, kapy, kołdry, chodniki, ceraty i t. p.

w składzie **H. Radeckiego**

Marszałkowska **№ 112**, 1-sze piętro pomiędzy Chmielną i Złotą.

Sprzedaż za gotówkę i na raty. 65

STEFAN TERTUS Z ODESSY

(Firma egzystuje od 1864 roku).

Otworzył Filię Składów Herbaty: Chińskiej i Cejlońskiej

w Warszawie, Plac Krasiński Nr. 3.

Uwaga. Komisya Sewastopolska po analizie produktów spożywczych i napojów, uznała herbatę **Stefana Tertusa** za czystą i bez wszelkich domieszek obcych liści i różnych farbowań. (Kr. Wiestn. z dnia 10/22 1897 r. za Nr. 324).

Zarządzający filią **M. Lisser.** 76

PRACOWNIA SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH

Bronisławy Müller

(Bednawskiej)

przeniesiona została z ul. Aleksandrya **na Swiętokrzyską N-r. 17.**

973—25—24

Uwaga!!

Maszyny do szycia i wyżymaczki

Wprowadziłem system fabrykacyi amerykański, to jest licząc na ilość robót, obniżyłem ceny dotąd w Warszawie niepraktykowane. Za reperacyę maszyny do szycia **rs. 1**, a wyżymaczki **kop. 50** prócz części dodatkowych, które są na składzie.

Mechanik, Złota 16 między Zielną i Wielką.

Maszyny i wyżymaczki nowe i używane są do sprzedania w wielkim wyborze. 77

Do nabycia w księgarniach podręcznik naukowy pedagoga **Reussnera**

„SAMOUCZEK"

Polsko - Francuski, najlepsza, najnowsza, najłatwiejsza metoda do bardzo prędkiego nauczenia się francuskiego języka **bez nauczyciela**, z objaśnieniem wymowy i akcentowania, **I-szy kurs** kop. 1.20, **II-gi kurs** kop. 3.20— **Gramatyka Polsko - Francuska**, kop. 1.20, lub całe dzieło w **47**-iu zeszytach, każdy po kop. 15 (pocztą kop. 18).

Wypisy Francuskie (Morceaux Choisis) ze słownikiem w 4 językach, zeszyty po 15 k. (pocztą 18 k.).

SAMOUCZEK Polsko-Rosyjski. Kurs Niższy 14 zeszytów, **Kurs Wyższy** 18 zeszytów po kop. 10 (pocztą kop. 13). Na pocztę dopłata do każdego rubla po 25 k.

Na żądanie wysyła się **bezpłatnie** I-y zeszyt **„Samouczka" Francuskiego i Ruskiego.** Skład główny u autora **(Reussnera)**, ul. **Złota № 6**, w Warszawie. 87

PRACOWNIA SUKIEN

i Okryć Damskich

Zofii Łęckiej

HOŻA № 27, m. 22.

Wykonywa wszelkie roboty po bardzo nizkich cenach.

---

35 **KROAZY.** KROAZETKI, GROLINY i wszelkie dodatki do sukien. **TOWARY NORYMBERSKIE.** Przybory do gorsetów i Towary doborowe damskiej konfekcyi. Wybór wielki. Ceny najniższe. Poleca: **Antonina Plichta ul. Ś-to Krzyska Nr 8.**

Warszawskie Towarzystwo Akcyjne Handlu Towarami Aptecznemi

dawniej

Zjednoczeni Aptekarze i Ludwik Spiess i Syn

Zarząd i Składy Główne ul. Senatorska № 24.

Filje: w Warszawie: Plac Teatralny, ul. Marszałkowska 140; w Łodzi: ul. Piotrkowska 11.

polecają:

Świeżą oliwę nicejską.	Octy francuskie i inne.	Lakiery spirytusowe.	Lakiery kopalowe.
Galatyny.	Farbki do bielizny.	Perfumy.	Mydła.
Farby olejne.		Proszek na owady.	

60